



== Pismo Illustrowane dla Kobiet ==

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie
Kwartalnie rs. 1.
Za odosłanie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna № 26.

TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petittem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Owanes kochał, kochał szczerze, niezmiennie, bezgranicznie, a nie śmiał wyznać w wyrazach jasnych tej miłości, lubo wiedział, był pewnym, że ta, co mu serce uwięziła, przykuła do myśli swych, odczuwa to kochanie i jest mu wzajemną. Słowa jego przecież pełne uczucia, echem się odbijały głośnie w jej duszy młodej; widoczne się to stawało z każdego ruchu, z każdego przelotnego nawet błysku jej oczu. Byłby tak milczał Bóg wie jak długo, gdyby nie los, nie przypadek.

Zdarzyło się, że Owanes idąc wedle zwyczaju po skończonej konferencji z panem Kajetanem do alei akacyjowej, zastał tam siedzącą na ławeczce Helcię. Młoda panna siedziała i przerzucała jakąś książkę; czytanie jej widocznie nie szło, bo raz po raz rzuciła oczyma to na drzewa pozłoczone promieniami zachodzącego słońca, to na wydłużone ich cienie, to wreszcie na wijącą się ścieżkę bocznego szpaleru.

Zbliżył się i jak zwykle rozpoczął rozmowę:

— Co czytasz, Helciu?

— A tę psychologię, coś mi pożyczył wczoraj. Czytam i czytam, ale jakoś ciężko idzie.

— Cóż takiego? Czego nie rozumiesz, daj, to ci wytłumaczę, przecież książka jest przystępnie napisana, dlatego ci ją nawet dałem do przestudiowania.

I jał się dopytywać, na pytania rzucone odpowiadać swoim zwyczajem treściwie a jasno, wreszcie zapalił się i począł na dobre rozwodzić się nad treścią dzieła.

Dziewczyna trzymając książkę złożoną w rękę patrzyła na niego uważnie i zdawała się słuchać, chociaż ją więcej zajmował blask oczu mówiącego, głos jego dźwięczny aniżeli to, co mówił. Kiedy skończył, rzekła półgłosem:

— I cóż, czy ta książka rozwiązuje zagadkę duszy ludzkiej.

— Zagadkę?

— Tak.

— Ale dusza ludzka nie jest jedna, do zrozumienia jej trzeba by tyle tłumaczeń, tyle formuł, że tak powiem, ile jest ludzi.

— A czy każdy sam siebie rozumie? Ja zawsze jestem tego zdania, że nie.

— Sądzę, że każdy, zastanowiwszy się dobrze, rozumieć się powinien.

Helunia oczyma wodziła dotychczas po jasnym niebie, którego płat przedzierał się przez wykrój drzew u góry — nagle wzrok skierowała na swego towarzysza — i rzekła:

— A ty siebie rozumiesz?

— Najdokładniej, tak jak rachunki twojego taty — dodał z uśmiechem.

— A innych rozumiesz?

— O tyle, o ile...

— Kogo jednak najwięcej?

Owanes na to zapytanie zarumienił się lekko, poruszył gwałtownie na ławeczce i szepnął:

— Kogo? Ty wiesz kogo.

Nie było odpowiedzi.

— Ciebie! Boś ty jest we mnie, bo cała dusza twoja odbija się w mojej — dodał z zapalem, a słowa mu płynęły z serca, jak potok górski ze źródeł skalnych.

Dziewczyna słuchała, patrząc na gwiazdkę wieczorną, migocącą nad nim, na policzki jej wystąpiły rumieńce, niby dwie róże rozkwitłe.

— Tyś moją duszą, Helciu, od lat, lat... Od wieków całych, tyś mojem marzeniem, kochaniem

jedynem, bo nie mam nikogo na świecie prócz ciebie.

Wziął ją za rękę, pozwoliła, siedziała nieruchoma jakby zamagnetyzowana; okrył ją pocałunkami, nie wydzierała jej:

— I ja ciebie najlepiej rozumiem, Owanesie, ciebie jednego, jedynego, bo cię kocham. — Szepnęła i rozchyliła usta rozkosznie.

Ohana stracił prawie przytomność z upojenia, przyciągnął ją do siebie, przytulił i na tych ustach czystych, niewinnych złożył pocałunek.

Był to pierwszy i związał ich na zawsze. Wspomnienie tego pocałunku żyło w pamięci jej i jego długie lata; ani los, ani życie nie mogły go zatrzeć.

— Widzisz tę gwiazdkę, Heluniu, ona nad nami świeci, to nasza gwiazdka szczęścia, nasza; ja wiem, że ona ta sama. Ja będę wielkim, sławnym, bogatym, a ty będziesz moją, i tylko moją.

— Tylko twoją.

— Na zawsze...

— Na wieki...

Nie wiadomo, kiedy, i jak się to stało, że usta ich znowu się zetknęły; była to chwila wstrząsająca ich duszami do głębi.

Od tej chwili świadomi swego szczęścia, żyli niem. żyli szczęśliwie, a nikt się nie domyślał z domowych, że te dwa duchy już sobie wiarę przysięgły, już do siebie należą.

Owanes marzył, że za rok, za dwa, kiedy stanie na własnych nogach, poprosi starego Bohdanowicza o rękę córki. Sądził, że mu jej tenże nie odmówi, skoro pozna, iż przestał być hollyszem, pisarkiem. Żył tem marzeniem i dlatego każda chwila spędzona z Helcią była dlań rajem.

Tymczasem stało się inaczej. Pewnego dnia, a było to na wiosnę, przyjechał do Wysoki Szymonowicz, jeden ze spółników pana Kajetana. Niby to miał interes dłuższy, niby to z nudów, dosyć, że przesiedział na odaji dwa dni. Był wesół, rozmawiał dużo wbrew zwyczajowi, Helci

prawil komplementa zdawkowe. Takim go nigdy przedtem nie widywali; był zawsze chmurny, surowy prawie.

Najmłodszy ze stowarzyszonych przewyższał ich wykształceniem, oglądał towarzyską, ale brakło mu tej energii, tej pomysłowości, które tamci w wysokim stopniu posiadali. Chociaż pracował bardzo, duszę zda się całą włożył w gospodarstwo, szło mu ono opornie i gdyby nie poparcie solidarne spółników, byłby dawno przepadł zupełnie. Przyznając mu wszystkie cnoty możliwe, zarzucano mu zawsze pewną niezdarność, nieruchliwość, która się odbijała w każdym czynie jego obmyślanym doskonale, lecz nie wykonanym energicznie, w należytych czasach. Pomimo tego wszystkiego był lubiany i szanowany przez wszystkich. Za trochę flegmatyczne usposobienie nazywano go czasami Anglikiem, i śmiało się z tego powodu.

Z pomiędzy spółników on jeden był kawalerem. Chociaż dobiegał czterdziestki nie spieszył się z ożenkiem, mówiąc, że na wszystko ma czas. Doradzano mu, ażeby już skończył to starokawalerstwo, wożono go po różnych odajach, swatano na wszystkie strony. Naprawdę. Nie chciał zrobić kroku stanowczego, jakby się obawiał małżeństwa. Kiedy się przyjaciele i znajomi spostrzegli, że z nim nie można nic zrobić ani fortelami, ani przekonywaniem, dali mu pokój. Odtąd do miana Anglika dodano jeszcze miano dziwaka.

A uważali go powszechnie za doskonałą partję dla niejednej panny ormiańskiej, zalecał się bowiem tą stałością charakteru, tem zamięłowaniem porządku w życiu, które tak są w mężach cenione.

Takim był Szymonowicz Ormianin z pochodzenia, a Anglik z charakteru.

Gdy odjechał z Wysokiej, wszyscy naraz zaczęli się dziwić tej wesołości i temu dobremu humorowi, w jakim go widziano. Żartowano sobie z jego angielskości, mówiąc, że ta ostatnia ormiańszczyzna.

— Czemu on dzisiaj wesół ten Anglik? — zapytywała Helcia ojca, widząc na jego twarzy jakąś uciechę. — Musiał przywieźć do Wysokiej jakąś bardzo pomyślną wiadomość, kiedy i tatkę wprowadził w dobry humor.

— A tak, moje dziecko — odparł ojciec wpatrując się w córkę uważnie, — przywiózł mi istotnie nader pomyślne wieści.

— Ciekawa jestem, co to takiego?

— Tyś zawsze ciekawa! A przecież się nie znasz ani na interesach, ani na pszenicy, ani na kukurydzy, ani na cenach zbożowych.

— Naturalnie, że się nie znam.

I urwała nagle, myślała, że istotnie konferencya z Szymonowiczem dotyczyła interesów; o czemżeby on mógł innem mówić, ten Anglik zimny.

Nazajutrz, koło południa, pan Kajetan zastawszy Helcię samą w alei na ławeczce, zbliżył się i siadając obok niej zapytał, co czyta.

— O, tatku, bardzo poważną książkę.

— Ho, ho... poważne książki cię zajmują, odkądże to?

— To tatko nie wiedział, że mnie one zawsze zajmowały — odparła Helcia z urazą żartobliwą w głosie.

— Wiedziałem, wiedziałem, moje dziecko. A cóż to za tytuł tej książki?

— „Traité de l'esprit.”

— Książka francuzka, a ja stary po francuzku nie umiem.

Spojrzał się czule na nią i przygarnął do siebie.

— A może mi opowiesz co ciekawego z tej książki mądrej, którą ci pewnie dał Owanes?

— Tak, Owanes.

Lekki rumieniec towarzyszył tej odpowiedzi prostej.

— No, nie opowiesz mi, moja pieśczętko?

— Jeżeli tatko chce i ma czas...

Na te słowa pan Kajetan spojrzał na zegarek i rzekł:

— Czasu co prawda nie mam wiele. Zostawmy to do jutra, jutro tu przyjdę i wtedy cię będę słuchał z uwagą, bo i ja jestem ciekawy, co to tam w tych książkach francuzkich, które czytasz, jest warte czytania.

Zatrzymał się chwilę i znowu zaczął, ale już jakimś bardziej czułym tonem:

— Teraz chcę ci coś powiedzieć, coś bardzo ciekawego.

— Co takiego? — Wyrwało jej się mimowoli, a czuła jakieś drżenie w piersiach.

— Co? Więc słuchaj! Powiem ci prosto z mostu, jak ja to umiem. Oto wczoraj Szymonowicz mówił mi, że mu się podobasz, że oddawna miał na ciebie oko zwrócone i myślał o tobie. Ponieważ zaś postanowił zakończyć swoje życie samotne, więc przyjechał mnie prosić o twoją rękę.

Skończył i patrzył na córkę, jakie też na nią wrażenie wywarły te słowa. Spodziewał się, że to wywoła na twarzyczkę córki radość i wesele, tymczasem zdziwił się, dostrzegłszy na jej obliczu śniadem najpierw bladeść niezwykłą, a potem mocny rumieniec, który ogniem rzucił się na świeże dziewczę policzki.

Milczała. Zrobiło mu się jakoś nieswojo, więc ciągnął dalej, już poważnie:

— Widzisz, moje dziecko, wychodząc za Szymonowicza, robisz partyę. Znasz go, słyszałaś o nim tyle dobrego, to bardzo uczciwy, prawy i wykształcony człowiek. Nie wydałbym cię za niego, gdyby tego nie był wart.

Przerwała mu, ściskając konwulsyjnie nieomal książkę trzymaną w ręku:

— Ja wiem, że on prawy, zacny, uczciwy, że posiada wszystkie cnoty, znam go od lat tylu, ale ja za niego nie wyjdę!

— Dlaczego?

— Dlaczego?... Chce tatko wiedzieć?... Oto dlatego, bo on mi się nie podoba!

Stary zachnął się, córka niecierpliwie go zachęcała, wtrącił więc podrażniony:

— Co to nie podoba się! Czy ty wiesz, co to znaczy nie podobać się?... Zresztą, jak może ci się człowiek zdrowy, inteligentny, uczciwy, głodki nie podobać, ja tego nie rozumiem?

— Lecz ja rozumiem, mój tatku — rzekła dziewczyna, — nie podoba mi się, bo go nie kocham.

— Ho, ho, ho... — i śmiech ironiczny ojca rozległ się. — Moja droga, pokochasz, pokochasz z czasem, jak będziesz jego żoną.

— Ja jego żoną jednak nie zostanę.

— A za kogoż ty myślisz wyjść?

— Za kogo? Za tego, którego kocham!

Ojciec spojrzał na córkę i ramionami wzruszył.

— Więc ty już kochasz kogo?

— Kocham.

— Któż to taki?

— To do mnie należy, mój tatku!

— Ale i do mnie, bo nie pozwolę, ażeby ci ktoś napróżno w głowie miał przewracać.

— Któż to taki? — pytał dalej, — mów! Kto? Milczysz, co? Może to ten pisarczyk ci zawrócił głowę kochaniem, bo to narwana bestya! Co, on? Gadajże, bo mię już gniewać zaczynasz.

Dziewczyna zacięła zęby, powstrzymała gwałtem cisnące się łzy do oczu, pierś jej falowała jak burzliwe morze, a serce ścisnęło się z żalości i bólu. Ten ojciec, którego tak kochała, stawał się dla niej w tej chwili gorzej niż tyranem, bo katem.

Milczała.

— Więc co? Nie powiesz mi?... Słuchaj że, co ja ci powiem: jeżeli cię ten Ormiańczyk naprawdę zajął, to go sobie wybij z głowy; ja nie myślę hołyszów przypuszczać do rodziny.

— On nie będzie hołyszem — wyrwało jej się, — on pójdzie wysoko, bo jest bardzo inteligentny.

— Taaak... Patrzcie ją — wrzasnął ojciec, — więc go jeszcze bronić myślisz? A ja ci powiem, że to łajdak, niewdzięcznik; za to żem go przyłasił, kąsać mnie jeszcze myśli? Głupiec on jest! Nie, nie — wołał, — o nie, już ani słowa! Mnie na samo wspomnienie niedobrze się robi; ja nawet tego pojąć nie jestem w stanie. Jakiś nicpoń, gołowas śmiał nie tylko okiem rzucać na moją córkę, lecz jeszcze bawić się w jakieś amory!

— Tato! — zawołała Helcia, chwytając ojca za rękę, — tato, nie mów tak, proszę, on bardzo uczciwy i mądry, ten biedny Owanes; on za lat kilka będzie bogatszym od Szymonowicza.

Pan Kajetan nie zwracał na to uwagi, jego jasny kupiecki rozum widział wyraźnie rzecz całą, on nigdy się nie ludził i interes każdy traktował seryo, to też nie mógł pojąć, co się stało, że jego, jego kombinacje mogłyby się rozbić z powodu jakiegoś przybłedy, Owanesa, który mu chleb zawdzięczał. Stanął więc naprzeciwko córki a założywszy ręce w tył powiedział groźnie:

— Krótko, węzłowato! Z Owanesem ma być wszystko skończone; za małe uchybienie z jego strony wyrzucę go natychmiast z kancelaryi. Pan Szymonowicz będzie bywał u nas w charakterze starającego się o ciebie, masz być dla niego grzeczna, dobra i podobać mu się. Tyle powiedziałem i więcej mówić nie myślę!

Ledwie ojciec zniknął za drzewami alei, gdy dziewczę nie mogąc wytrzymać już dłużej zapłakało duszą całą. Ukrywając twarz w dłoniach, Helcia płakała tak rzewnie, jakby kogoś najdroższego w świecie straciła. Śmiejąca się, ciepła, zielona wiosna stała się jej tak obojętną, tak zupełnie inną, aniżeli przed godziną. Rozmowa z ojcem zabiła w niej tę wolność myśli, którą się dotychczas cieszyła; widziała się skutą i zgnębiałą przez własnego ojca, nie rozumiejącego jej zupełnie, nie zdającego sobie nawet sprawy ze stanu jej serca zranionego.

Miała jedyną nadzieję w matce, sądziła że tę przynajmniej zdoła skłonić na swoją stronę, bo wyrok ojcowski uważała za nieszczęście prawdziwe. Ale i tu zamiast pociechy doznała zawodu; matka zupełnie tak samo jak ojciec tylko w wyrazach łagodniejszych przedstawiała jej świetną partyę, jaką robiła wychodząc za Szymonowicza, który ją dopiero jedną upatrzył i obrał dla siebie na żonę. Powtarzała jej po kilka razy, że to wyraźna łaska Pana Boga, zjawienie się tego Szymonowicza, o którego się same pan-

ny starały, a on odrzucał je wszystkie dla niej, wyraźnie dla niej.

Zamiast pociechy doznawała teraz Helunia strasznego rozdrażnienia, które jej spokoju nie dawało, męczyło i gnębiło ją okrutnie. Nie mogła się oswoić z tą myślą, iż musi ustąpić woli rodziców i poślubić człowieka, który nie był tym wybranym od dzieciństwa. Szymonowicz, już dobrze łysy, o rysach przywidłych, zlekka pomarszczonych, człowiek mrukliwy, nudny, nie mógł się równać z tym młodym, pełnym życia, zapалу, energii Ormianinem, z którego twarzy biła inteligencja a w oczach błyszczała zaciętość wielka.

A jednakże choć czuła zawieszoną nad głową swoją dolę czarną, co ją gwałtem ciągnęła ku sobie; czuła zarazem i niemoc własną. Umysł i serce jej zbyt było skrzepowane poczuciem posłuszeństwa dla rodziców, by mogły się buntować i wbrew woli ich postąpić. Nie była jeszcze kobietą, w której wzbudzone namiętności palą się i wybuchają płomiennym ogniem, niszczącym na popiół wszystkie wahania i wątpliwości. Ta jedna jasna a stanowcza myśl postawienia na swoim, nie zdołała dotąd umocnić się w jej panieńskim duchu, wybuch nagły, opór jaki dziś stawiała ojcu, był tylko buntem beznadziejnym.

To też, kiedy wieczorem zgromadzono się razem w salonie, by wspólnie o tem postanowieniu pomówić, od niej wiał już tylko odcień smutnej rezygnacji.

Pan Kajetan tonem łagodniejszym zaczął ją skłaniać do opamiętania, wmawiając w nią sympatię dla Szymonowicza, która, jak twierdził, zamieni się z pewnością w zapamiętałe kochanie. Matka również przemawiała tak samo, a Stefek, przypuszczony do narad odezwał się z sarkazmem, zdradzającym trywialność myśli:

— Moja Helciu, dziękuj Bogu, że takiego męża dostaniesz, stary, ale jeszcze chwat. A co za człowiek? Takich ludzi mało na świecie, choć go do rany przyłóż. Zrobisz z nim co będziesz chciała, wyrobisz go i poprowadzisz, dokąd ci się spodoba.

A ona nic, nic, tylko słuchała, w oczach jej się migał zawsze ten jeden, ukochany myślarz i sercem czystym, stawał jej w wyobraźni zrozpaczony, smutny jak noc. Zaledwie zostawiono ją samą, wybuchala zawsze tłumionym płaczem, którego nikt nie słyszał. Wszystko się w niej rwało, burzyło.

Z załamaniem rękoma chodziła po pokoju swym panieńskim i myślała, myślała — wszystko ją ciągnęło w tamtą stronę ku niemu; chciała się skarżyć przed nim, lecz jego nie było — tydzień temu wyjechał za jakimś interesem do Odessy. Nie przewidywał, jaka tu zmiana zajdzie w tej napozór spokojnej Wysokiej; a może on jednak to przeczuwa teraz, może przewiduje, on taki mądry, taki inteligentny.

Wzrok jej mimowoli padł na mały obrazek Matki Bożkiej, wiszący nad łóżkiem. Promień błądy księżycowego światła suwając się przez zbitą masę drzew w ogrodzie, wpadał do pokoju i smugą jasną przecinał go w połowie. W promieniu tym twarz Matki Bożkiej świeciła dziwnym blaskiem słodczy i wesela niepojętego. Helcia spojrzała na twarz Dziewicy Przepiętej, tulącej do łona Dzieciątka Jezus i uczuła się połączoną czarem świętości. Ukłękła więc i wpatrzona w tę Dziecinę i jej Bożką Matkę, oddawała jej miłosierdziu swoje nieszczęście, gorzko żaliła się na swoją dolę. Owładnęło ją jakieś

takie rozrzuśnienie niewymowne, że się modliła bez słów, bez myśli, prawie samemi uczuciami strapionej duszy. A z tego chaosu wrażeń, westchnień, przesyłanych Królowej Niebios, wyłoniła się jedna myśl tkliwa, uspokajająca stopniowo jej duszę, która sprowadziła na nią wkrótce sen dobroczynny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

Poeta wierzy, że „każde słowo wielkie, czyli małe ma swoją siłę, jak ziarno.”

„Dźwięcznymi struny budzili narody
Szekspiry, Danty, Homery, Shelleye.”

„Lecz choć potężną jest geniuszu władza,
On tylko słowa w jeden dźwięk zestrzela,
Powodziom tamy stawia, ład wprowadza
W wir, ale nie bierz go za stwórcę.
On jest dziećciem ich.”

Co za różnica szalona między takim poglądem na twórczość autorską, a wyobrażeniami pseudo-kłasyków naszych i francuzkich. Przed stu laty uważali ludzie słowo za własność swoją, za niewolnika, za narzędzie, którym umysł ich mógł posługiwać się do wiadomych sobie celów.

Nakładali nań więzy reguł i przepisów, chcieli je mieć posłusznem, giętkiem, czuli się panami jego. Poeta nowożytny przeciwnie, wie, że on jest tylko „naczyniem, przez które przepływa strumień piękności,” organem, za pośrednictwem którego ujawnia się jakaś siła tajemnicza, on czuje się niewolnikiem, dziećciem słowa.

Czy może być coś bardziej zastanawiającego, jak te wahania się ludzkości od jednego bieguna pojęć do drugiego.

Ale wróćmy do *Pieśni o słowie*.

Poeta nie jest więc stwórcą słów, które wypowiada. Im „łonem matczynem” jest „słów burza grzmiąca,” przelatująca nad ziemią od pierwszego dnia stworzenia, „bo każde słowo słów tysiąca synem, i każde słowo ojcem słów tysiąca.”

Ale z tych wszystkich, od początku świata wymówionych „żadne słowo nie jest ostateczne zwierciadło bytu najwyższych zagadek.” Tego słowa szuka ludzkość wciąż, obracając się w zakłętym kole tajemnicy. I w pięknym, lirycznym ustępie, który przytaczamy poniżej, daje jej poeta cień nadziei:

„Bo nie myśl, że to słowo jest gdzieś, w dali,
W uczonych księgach, albo słów ogromie.
Ono się nieraz w prostym krzaku pali,
W prostaczkiej piersi żyje nieświadomie.
I nieraz dziecko wieśniaczego proga,
Wędrowny kramarz, albo dziad żebrzący,
Takie ci słowo powie pełne Boga,
Że stajesz przed nim zdumiony i drżący.
I zda się, pytać chcesz, jak i dlaczego
Mówisz to? Kto cię uczył tego słowa?..”

Kończy poeta przesliczną parafrazą modlitwy Pańskiej:

„O słowo, które jesteś we wszechbycie,
W pozorach zjawisk rozlane dla oka,
Świeć się twe imię! Opromień nam życie,
I daj nam wieku naszego proroka!
Przyjdź twojej prawdy najwyższe królestwo,
Wszechobjawiona stań się twoja wola,
Pokój na każde ludzkie zlej jestestwo,
Niechaj każdemu błysnie dobra dola.
Daj nam poznanie wszystkich praw natury,
Byśmy codziennym nakarmieni chlebem,
Nie znali walki o jadalę ponurej,
I wciąż za twojem mogli dążyć niebem.
A tak wciąż wyżsi potęgą duchową —
Ucieleśniali twoje królowanie:
Raj odzyskany, w którym jedno słowo
Panuje — Miłość. Tak niechaj się stanie.”

W tym wspaniałym hymnie na cześć słowa, najwyraźniej ujawnia się indywidualność autora. Głębia filozoficzna, wyobraźnia wizjonera, szczególnie dar słowa, płynącego z siłą i rzeźkością potoku górskiego, nieprzebrane bogactwo porównań, przenośni, zwrotów retorycznych, wszystkie charakterystyczne pierwiastki talentu tego niepospolitego poety znajdujemy tutaj.

W „Sonetach Wedyckich” i „Księgach Proroków” zamknął Lange dzieje myśli ludzkiej, dzieje wysiłków jej, zmierzających do zerwania zasłony, kryjącej Wielką Niewiadomą.

Księgi Proroków pisane wierszem nierymowanym, który, mówiąc nawiasowo, w mowie polskiej dopiero pod piórem młodych pisarzy doszedł do wysokiego stopnia doskonałości, nieporównaną muzyką rytmów, muzyką o poważnym, uroczystym brzmieniu, działającą na czytelnika, poddając mu niezmierną moc obrazów, otwierając przed wzrokiem jego bezgraniczne perspektywy.

Erotyka Langego gorąca, namiętna nie przechodzi nigdy w wyrafinowaną, wschodnią zmysłowość Tetmajera. Wysoko ceni poeta miłość. Kto nie kocha, ten podług niego:

„Nie pozna życia najcudniejszej woni —
I w końcu powie: ja byłem wyklęty;
Nie było dla mnie majowej harmonii!
Raczej się wcale nie rodzić, niżeli
Nie znać melodyi, w której śnią anieli.”

W innym miejscu z wulkaniczną siłą wybucha:

„Jeżeli kochać, to kochać namiętnie,
Nie rozważając, jak ogień wytryska,
Z zamkniętym okiem lecieć w żar ogniska,
Jak żywiołowe siły — bezpamiętnie.”

Z tą płomienną strofą jakież kontrast niezmierny stanowią miękkie, słodkie dźwięki, które w innym wierszu miłosnym spotykamy:

„I cóż prócz łez twych zyskałbym na tem,
Gdybyś poznała, co ja poznałem?!
Nie, lilio moja, pozostań kwiatem,
Pozostań dzieckiem, gwiazdką, kryształem.”

Czysto idealnej miłości wyrazem jest następująca strofa:

„Kocham cię za to, że jesteś otchłanią,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że się wichry w duszy twej orkanią,
I żeś jest chmurą, i żeś jest mgławicą.”

Jest to nowy w poezji naszej ton. Tak do kobiety nie przemawiali romantycy, którzy mimo rozślawionego idealizmu swego lubili opiewać kochanek oczy czarne, lub błękitne, splety złote, lub krucze, ale dusz ich za temat pieśni nie brali.

Po tych perłach poezji miłosnej jako niespodzianka przykra, uderzają słowa:

„Dzisiaj nasze serce tak mózgiem przesiąknięte,
[że już być nie umie
Sercem. Samo się mózgiem stało. Nie rozumie
Szału. Byliśmy niegdyś rozumni swym szałem!
Dziś jesteśmy rozumem szaleni. Kochałem
Mózgiem. Ale ja nie chcę, by mój mózg był
[w szale!
Nie, ja nie umiem kochać! Jam nie kochał
[wcale!”

A jednak tu zdaje się być poeta najszczer-
szym, i tu przez usta jego przemawia ból całego
pokolenia, u którego myśl przewagę wzięła nad
uczuciem.

W fantazji prozą p. t. „Godzina,” znajdujemy
coś jakby całokształt poglądów filozoficznych
autora.

Artemis, bogini natury widomej i Godzina, bo-
gini nadchodzącego jutra, płyną w przestworach
eteru niewidzialne dla oczu tłumu ludzkiego,
który w zamęcie dążeń, hasła, walk zmierza ku
przyszłości, kto owemu *jutru*, mającemu wedle
słów *młodzieńca*, wypowiadającego myśli poety
przynieść: „głodnym chleb, myślicielom światło,
marzycielom harmonię, chorym siłę, niewiastom
wyzwolenie, i wszystkim szczęście.” Artemis pro-
si Godzinę, by ukazała się nieszczęsnej ludzko-
ści. Godzina wzbrania się. Jeszcze nie pora.
Ludzkość nie dojrzała jeszcze do wielkiego ju-
tra. A na ziemi walczą idee, wre ferment, w któ-
rym zarody jutra się kryją. „Łączcie się duchy
w jedno ognisko — woła *młodzieniec*. — Niechaj
cały świat będzie jako jedna rodzina i jeden
człowiek!” Zapał młodzieńca udziela się tłumom,
rozchodzi na najdalsze kręgi ludzkości. „I było
wielkie jakby w pozaziemskim natchnieniu zro-
dzone zjednoczenie dusz.” Wtem zabrzniał na-
głe głos starca pustelnika: „Chwała samotności!
Potężnym jest człowiek, tylko wówczas, kiedy
stoi sam. Niechaj każdy człowiek będzie jako
świat osobny.” I przyznali mu, że potężne sło-
wo powiedział. „I nanowo rozpętały się egoiz-
my.” Żądni użycia i moźni, spieszą używać „nę-
dzarze ze smutkiem w oku mówią: chleba, chle-
ba, a młodzieńcy idą na pustynię.” I nawet ów,
który do miłości zagrzewał, poszedł za starcem,
zadając sobie pytanie, czy na pustyni „stanie się
jako słońce, co w każdej kropli wody się odbija,
czy też będzie jako w sobie, i dla siebie tylko
świecący płomień?”

Przeżywszy czas jakiś na pustyni, skarżą się
mędrcom młodzieńcy, że potracili najdroższe
skarby ducha. Jeden stracił tajemnicę wiary,
drugi tajemnicę woli, trzeci tajemnicę natury,
czwarty natchnienia, piąty szczęścia, szósty mi-
łości i t. d. Ale mędrzy-samotnicy nie są wsta-
nie dać im pociechy, ni rady. Wtedy występuje
młodzieniec i nakłania ich do powrotu między
ludzi. Samotność wydarła wam skarb wasz.
„Tylko w odczuciu pragnień powszechnych jest
wola i szczęście, miłość i natchnienie.” „Ja ser-
ce swoje dla wszystkich uczuć ludzkich otworzę
i znów miłości pożadam.” A gdy tak mówił,

„bogini jutra, Godzina, zabłysła w całej pełni
swych blasków promienistych.” Takie więc jest
wyznanie wiary poety. Treścią jutra, duszą je-
go będzie miłość.

Uroczystą kantatą na cześć przyszłości i zwi-
astunów jej kończy się poemat.

„Duchom przyszłości, pokoleniom nieurodzo-
nym, prawdom utajonym, objawieniom niespo-
dziewanym chwała! Chwała bohaterom ludów,
chwała myślicielom i mędrcom, chwała niewia-
stom wybranym, chwała wieszczkom i proroki-
niom, chwała marzycielom i prorokom. Duchom
bolejącym, duchom czuwającym, duchom spra-
gnionym, słońcom wschodzącym—chwała! Chwa-
ła godzinie, która się zbliża! Bogu na niebie,
człowiekowi na ziemi — chwała wiekuista!”

Proza Langego, jak z tych urywków osądzić
mogli czytelnicy, nie wiele pod względem warto-
ści artystycznej ustępuje jego rymom. I w mniej
swobodnej formie i w najswobodniejszej, wyrazy
jego płyną jak fale rzek wiosennych, bez wysił-
ku, z rozpędem młodzieńczym, z szumem. Wo-
bec łatwości tej zatraca się po części poczucie
wysokiego artyzmu tej mowy, jej istotnej kunsz-
towności.

Prócz utworów oryginalnych dał nam Lange
tłómaczenia z Shelleya, Beaudelaire'a, Edgara
Poe i innych, tłómaczenia prawdziwie artystyczne.
Brak miejsca nie pozwala mi podzielić się
z wami czytelnicy, chociażby urywkami tych prze-
kładów. Sądzę zresztą, że możemy obejść się
bez nich, że przytoczone przezemnie wyjątki
z prac oryginalnych dają już niejaki wyobraże-
nie o fizyognomii duchowej młodego poety. O ile
zaś na fizyognomii tej odbił się wpływ geniuszów,
którym pomocy swej do przebrania się w szatę
polskiego słowa używał, jest w gruncie rzeczy,
kwestyą małej wagi. Któryż z poetów naszych
nie ulegał do pewnego stopnia wpływowi twór-
czych potęg Zachodu, nie przestając pomimo to
być sobą. Gdybyśmy mu zaś wśród naszych kla-
nów poetyckich wyszukiwać chcieli krewnych i po-
winowatych, musielibyśmy zaliczyć go do tej ro-
dziny duchów, której berło królewskie dzierży
autor *Beniowskiego*.

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Międzynarodowy kongres psychologiczny

W MONACHIUM.

(Dokończenie.)

W sekcji dla stanów hipnotycznych i pokrew-
nych, spory były bardzo ożywione. Kierunek
badań w tej gałęzi reprezentowała na kongresie
przeważnie Anglia. Od dosyć dawnego już cza-
su istnieje tam komitet zorganizowany przez pro-
fesora d. ra Sigdwick i jego żonę, używającą rów-
nież tytułu doktorskiego — komitet, którego za-
daniem jest przy pomocy cyfr statystycznych
dość do danych pozytywnych w kwestyi hallucy-

nacyj, jasnowidzeń, przeczuć i wszystkich wogóle
tego rodzaju objawów. Statystyka obejmuje tu
cały olbrzymi nagromadzony materiał cyfr i do-
tyczy tych specjalnie wypadków, w których duch
ludzki pod wpływem sił dotąd niewyszczególnionych
przeczuwać może śmierć osób bliskich. Ponie-
waż dotychczasowe spory zamykały się niemal
całkowicie w granicach apriorystycznego: *możliwe*
lub *niemożliwe*, postanowili uczeni angielscy przy
pomocy rozsyłanych po całym świecie kwestyo-
naryuszów, zgromadzić od osób bezwzględnie wia-
rogodnych jak największą ilość faktów tego ro-
dzaju, i na nich jako na materiale ściśle dowo-
dowym oprzeć się na przyszłość w tej zawilej,
tyle umysłów zaprzatającej, a dotąd niewyjaśnio-
nej kwestyi. Komitet reprezentowany przez mał-
żonków Sigdwick wziął sobie jako zadanie pójść
drogą wprost odmienną od tej, którą się posił-
kują we wszelkich badaniach okultystycznych.
Ponieważ tutaj wszystko opierają na hipotezach,
postanowił komitet ograniczyć się do zbierania
faktów — wyłącznie faktów. Fakta miały zde-
cydować o wszystkim. Poruszono istotnie świat
cały, zebrano kolosalny materiał, i ujawniwszy go
w cyfry, przyszli poszukujący do rezultatów
stwierdzających, iż przeczucie śmierci osób bliz-
kich dziełem zbiegu okoliczności być nie może
i tak zwaną zbieżnością wytłómaczyć się nie da-
je. Ponieważ w takim wypadku przewidywanie
na odległość, przeczucie, jasnowidzenie, czyli od-
gadnięcie wypadku śmierci, musiałoby być pod-
ciągniętem pod rachunek prawdopodobieństwa,
a tutaj cyfry dają rezultaty przenoszące 292 ra-
zy to, o czem mówi rachunek, przeto, nie pozo-
staje, jak odrzuciwszy przypuszczenie zbiegu oko-
liczności stanowczo, tłómaczyć fakta wyjątkowym
stanem ducha ludzkiego, który działać może na
odległość wedle jakichś praw nieznanych, któ-
rym wiedza pozytywna zaprzeczała i zaprzecza
do tej pory.

Odpowiedź na te argumenty wziął na siebie
doktor Sjorgen z Upsali.

Przeciwko cyfrom nie ma nic ten uczony; wia-
rogodności ich nie kwestyonuje bynajmniej, ale
stanowczo oświadcza się przeciwko braniu wszyst-
kich faktów pod jeden strych, pomieszczaniu ich
w jednej kategorii, bez rozróżnień i wyłączeń
i wyprowadzenie z całej najróżnorodniejszej na-
tury wydarzeń jednego ogólnego wniosku. Żąda
uczony szwedzki wyłączenia z tej rubryki wszyst-
kich wypadków, w których dręczony przeczuciami
ojciec albo matka, spędzająca w niepokoju
noce bezsenne — w którym rodzice tacy nawie-
dzeni hallucynacją zdołali przeczuć na odległość
śmierć swojego dziecka i oznaczyć jej dzień i go-
dzinę. Tak samo nie pozwala ten uczony na
podciągnięcie pod takie ogólne prawo cyfr doty-
czących przeczuć osób bliskich sercem, wszystkich
troszczących się o życie danej jednostki z jakich-
kolwiek względów, a dopiero resztę wydarzeń,
które się trafiły między ludźmi obojętnymi sobie
zupełnie, radzi zestawić z rachunkiem prawdopo-
dobieństwa i jego cyframi objaśniającymi teorią
przypadku i zbiegu okoliczności. To, co tutaj
wypadnie jako rezultat, będzie istotnie miarodaj-
nem i posłużyć będzie mogło jako materiał do
wnioskowań.

Profesor Karol Richet popierał o ile się dało
małżonków Sigdwick i ważność zebranego przez
nich materiału dowodowego, ale po za tym epi-
zodem, dyskusya nad tym przedmiotem tak sub-
telny interesu i do żadnych

decydujących wniosków nie doprowadziła sekcji, której została powierzona.

Jako ściśle naukowe uznane zostały prace przedstawione graficznie przez profesora Sommera z Giessen, dotyczące objawu czytania w myśli ludzkiej. Doktor Sommer wychodzi z założenia, że osoba z zawiązanymi oczyma odnajdująca w pokoju przedmiot ukryty przez inną osobę, z którą zostaje połączona, przy najwyższej nawet ostrożności ze strony osoby ukrywającej, jest stanowczo kierowaną mimowolnymi odruchami tej ostatniej i prowadzoną przez nią w najściślejszym znaczeniu tego słowa. Za pomocą zbudowanego ad hoc przyrządu, zwanego psychografem, udało się doktorowi Sommerowi spotęgować te minimalne drgnięcia i odruchy i we wszystkich trzech wymiarach graficznie zarejestrować.

Tym sposobem danym jest początek doświadczalnemu studium nad objawem czytania w myśli ludzkiej i sprowadzeniu na grunt czysto realny zjawiska, które różni ludzi z różnych zapewne powodów usiłovali ściągnąć w dziedzinę zjawisk nadprzyrodzonych.

Bardzo bogate materiały i obszernie rozprawy toczyły się w zakresie psychologii estetyki.

Co jest istotą piękna? Zkąd pochodzi, że kilka wierszy złożonych rytmicznie, albo harmonizujących się końcówkami podrażnia w wysokim często stopniu uczucie człowieka i wywołuje jego zachwyt? Dlaczego doświadczamy wysokiego zadowolenia duchowego na widok obrazu?

W czym tkwi potęga wydzielająca się z arcydzieła? Czem sądy i jakie ich kryterium?

Żałujemy bardzo, że wielu określić i definicji przytoczyć nam tutaj nie wolno dla braku miejsca, gdyż niejedna z nich odznacza się trafnością uderzającą i wniknięciem głębokiem w ducha rzeczy, ale jedną z nich choćby dla próby podzielić się nam wypadnie:

„Wrażenie estetyczne jest to tego rodzaju stan psychologiczny, który niezależnie od swojego podmiotu posiada cechy zupełnie charakterystyczne, a mianowicie manifestuje się przytłumieniem objawów życia materialnego i wskutek tego swobodnym, nietamowanym popędem wyobraźni.”

We względzie tego czym są te wrażenia w stosunku do życia, jaki ich wpływ, znaczenie i konieczność, zdaje się, że trzymają się dotąd Niemcy Voltair'owskiego: „Le superflu — chose très necessaire,” które nawet na kongresie przytoczonym było. Wreszcie nie godziło się spodziewać czego innego na gruncie niemieckim, od wieków uprawianym w tym kierunku — na gruncie, który dał światu tylu twórców i myślicieli.

W ostatnim dniu kongresu zabrał głos profesor Flehsig i mówił o kojarzeniu się pojęć w mózgu człowieka. Wywiązały się wskutek tego żywe debaty między przedstawicielami psychologii i psychiatrami nad kwestią: Jakiego znaczenia dla psychologii danego indywiduum jest anatomiczna budowa jego czaszki.

Doktor Franciszek Brentano mówił o teorii wrażeń wogóle, a z tego przeszedł doktor Elbinghaus profesor filozofii z Wrocławia do nowych metod doświadczalnych dla wykrycia uzdolnień umysłowych i zastosowania tych metod w szkołach niższych i wyższych.

Doktor Jeannet mówił o somnambulizmie i jego wpływach. Pouczającami były wielce spotrzeżenia tego psychiatry na stosunkiem hypno-

tyzowanych do hypnotyzującego, biernością tych pierwszych i podatnością ich do przyjmowania wszelkiej przewagi ze strony hypnotyzera, a w pewnych okolicznościach przerodzenia się tych wpływów w prawdziwą namiętność medyków.

Zakończyła kongres mowa profesora doktora Lippsa.

Jak widzimy z tego chociażby niedokładnego sprawozdania, zagadnienia naukowe roztrząsane na kongresie w Monachium należały do pierwszorzędnych. Jakie z nich spłynęło światło na kwestie rozbieżne, czy zjazdy takie znaczą istotnie etapy, jakie robi nauka w pochodzie swoim, o ile się takie kongresy do tego przyczyniają lub nie, tego wszystkiego nie czujemy się w stanie rozstrzygnąć. W każdym razie wolno ludziom dobrej woli cieszyć się, ilekroć widocznym jest tryumf światła, które, jak to już dzisiaj każdy chyba rozumie, samo tylko może rozjaśnić drogi szukającym prawdy i dobra.

Dlatego niby zgrzyt jakiś drażniący przyjął zapewne czytelnik krytyczny niemiecki i obcy zachowanie się odnośnie do kongresu monachijskiego, pewnego odłamku prasy berlińskiej. Wprawdzie idzie tu o pisma codzienne pruskie, które jak wiadomo ani czystością intencji nie grzeszą, ani skrupułami jakimikolwiek krępować się nie zwykły, a do inwektyw i napaści wytresowane są oddawna przez system, ale bądź co-bądź zawsze to przecie są pisma niemieckie, które z tej okoliczności szczególną na siebie przyjęły rolę. Dworuje sobie po feljetonach taki na przykład „Berliner Tagblatt” z kongresu całego i jego prac, sztydzi z Monachium, które powzięło myśl szczególną gromadzenia u siebie przedstawicieli nauki współczesnej, przedrwiwa nie bardzo mądrze, ale bardzo jadowicie zagadnienia roztrząsane, z tej rozumie się racji, że rola taka, gdy idzie o przedstawicielstwo ducha niemieckiego w jakimkolwiek kierunku, jednemu tylko przysługuje Berlinowi. I tak na przykład zastanawiając się nad kwestią wolnej woli rozbieżną na kongresie psychologów, oburza się „Tagblatt,” że mogą być jeszcze zagadnienia podobne rozbieżne w naszych czasach, podczas gdy od tylu lat rozstrzygnął to wszystko raz na zawsze Emanuel Kant, który był jak wiadomo pruskim uczonym.

Przyzna każdy, że szowinizm pruski liczy się do antypatyczniejszych, a buta pruska równie sobie nie ma chyba na świecie całym.

T. M.

NAD SIŁY.

NOVELA.

Pewnego pogodnego dnia czerwowego w roku 187... uderzyło wpół do trzeciej z południa na wieżę jednego z dworców drogi żelaznej w Warszawie.

Dwadzieścia minut tylko brak było do odejścia pociągu pośpiesznego, a wbrew zwyczajowi ruch był dotąd wyjątkowo ośpały. Żółciowego temperamentu kasjer flegmatycznie wydawał bilety jazdy, oszczędzając wzruszeń sobie, a publiczności admonicyj bezpożytecznych, konduktory przechadzali się z powagą i wyraźnem zado-

woleniem wzdłuż ustawionego szeregu wagonów, błogosławiąc dzień, który się dla nich tak spokojnie zapowiadał, a i komisyonerzy kolejowi, pomimo że chciwie wyrwali sobie pasażerów, nie mogli doprowadzić do zamieszania, jakie o tej godzinie panowało zwykle na peronie i w salach poczekalnych. Zamilkł nawet przeraźliwy głos garbatego roznosiciela dzienników, który zwykle modulował natężenie swojego piskliwego dyszkantu w miarę zwiększającego się ścisku i wzrastającej wrzawy.

Ale naraz z owym uderzeniem godziny wpół do trzeciej zawrzało przed dworcem, na dworcu i z tamtej strony jego, jak gdyby ci wszyscy opóźnieni na ten właśnie przedostatni dzwonek czekali, i jak gdyby na tę chwilę naznaczyli sobie schadzke ku możliwie największemu udręczeniu własnemu, ku zawróceniu głów administracji, oficyalistom i posługaczom kolejowym. Jakoż niebawem nie mogła już sobie dać rady służba policyjna z odprawianiem napływających ekwipaży i dorożek. Cera twarzy kasjera, jak to łatwo zauważyć mogli stojący najbliżej, przechodziła stopniowo wszystkie odcienia barwy pasowej zrazu a fioletowej następnie. Konduktorzy przeklinali siebie i publiczność, naczelnik stacyi nie przestawał bronić się heroicznie przeciw ustawicznemu propozycjom dodatkowej liczby wagonów, a wraz z tem wszystkiem tłumy, które już wy-czerpały swoją terminologią przyzwolitą i intonacją głosu umiarkowaną, uciekały się do coraz mniej wyszukanego i coraz głośniejszego sposobu przedstawiania swoich żądań.

Jednem słowem Zarwańska ulica prawdziwie, z którą dosyć często spotykamy się w takich chwilach na dworcach kolejowych całego świata, a najczęściej na własnym naszym gruncie, który jak wiadomo, tam się odznacza, że tu wszelkie mniej ważne, ważniejsze i najważniejsze sprawy odkładane bywają, o ile się tylko da, do ostatniej chwili.

Jak gdyby na domiar zamętu całego, zajeżdżał teraz sznur ekwipaży weselnych, który dwoje jakichś szczęśliwych — na krótko czy na długo, ale szczęśliwych w każdym razie, wraz z uczestnikami ich poślubnej uczty, odwoził na stację kolei. Zajaśniało na peronie od toalet świetnych, kwiatów, uśmiechów, a dużo życzeń bezładnie rzucanych wraz z bukietami do okna pierwszej klasy, popłynęło teraz z tego grona uroczyste nastrojonych kobiet i sztucznie rozweselonych mężczyzn, których ostatni kieliszek szumiącego płynu wychylony za pomyślność nowożeńców przy biesiadnym stole, do tego gratulacyjnego wylewu zobowiązywał.

Nie szczędźcież im tych życzeń blizcy i życzliwi! Życie takie krótkie, przyszłość taka tajemnicza i nietylko jutro ale i dzień dzisiejszy człowieka taki niepewny.

Może jedno prawdziwie szczere westchnienie przejednać złe losy, i zażegnać niebezpieczeństwo, zawieszone już nad temi młodemi głowami.

Parę minut zostawało tylko do odejścia pociągu. Uwaga całego tłumu zwrócona była na to grono świetne. Wymieniano zapytania i odpowiedzi dotyczące nazwisk obojga nowożeńców, chwalono i ganiono stroje zebranych, a jednomyślnie prawie zachwycano się urodą młodej małżonki, podnoszono wdzięk rysów, obejście ujmujące na pierwszy rzut oka, nie zapomniano nawet o skromnym kostymie podróżnym i o białym wysokim kapelusiku, który tak umiejętnie

dobrany był do całości, i tak szczególnie odpowiadał rodzajowi piękności młodej kobiety.

Ani domyślali się podróży, że tam na przeciwnym końcu pociągu inna, zupełnie w tym samym rodzaju kończy się scena rodzinna. W tym samym rodzaju, ale tamtemu obrazkowi skromnemu los odmówił złoconych ram, które tutaj właśnie tak pociągały i nęciły. Dlatego tych widzieli wszyscy, podczas gdy tamci pozostali w cieniu zupełnym.

I tam dwoje młodych, którzy dzisiaj zaprzysięgli sobie miłość w ustronnym kościółku Trynitarzy, odjeżdżało z rodzinnej Warszawy, ale nie w daleką podróż poślubną, a do miejsca urzędowania męża. Przed tamtymi otwierały się widnokręgi życia pełnego szczęścia i blasków — ci mieli jedną prostą a zacieśnioną perspektywę pełną trudu i pracy przed sobą. Pierwszych odprowadzało grono całe przyjaciół i krewnych — tej drugiej parze, oprócz starego ojca młodej małżonki nie towarzyszył nikt blizki. Może nie chcieli mieć świadków licznych w tej chwili uroczystej, a może wogóle nie mieli tak zwanych blizkich i przyjaciół obok siebie. Nie byłoby w tem nic dziwnego. Od mierności, od szarego bytu uciekamy tak skwapliwie, że droga wszystkich odsądzonych od rozkoszy życia, a skazanych na dożywotnie dźwiganie mniej lub więcej ciężkiej taczki życia, zawsze prawie prowadzi przez pustynię.

Na pomoście wagonu trzeciej klasy stała tutaj młoda kobieta lat dwudziestu niespełna i z żywym przejęciem śledziła wrażenia na twarzy o kilka lat starszego od siebie człowieka, któremu jej ojciec mówił coś w tej chwili poprzedzającej rozstanie — coś, co ich obu zajmowało bardzo. Skromnie ale starannie ubrana, rysów wysoce charakterystycznych wyrazem, przedstawiała ona jeden z typów rodzimie tutejszych w najdotadniejszym rozumieniu — typu, którego poszukiwać należało w dzielnicach dawniejszych miasta. Nie mówimy o dniu dzisiejszym, a w epoce, z której bierzemy ten epizod, nie modernizowały się jeszcze tak pospiesznie jak to ma miejsce dzisiaj, i nie traciły swoich znamion warstwy pracujące. Życie w tych sferach znaczyło swoje ślady głęboko i nie dając przedwczesnej starości, pozwalało na wczesną dojrzałość, urabiając wraz z duchem i formę zarazem. Tam gdzie dyssymulacja codzienna uczuć i wrażeń nie wytwarzała drugiej maski, sztucznej, zasłaniającej zupełnie naturalną, tam los, jego przypuszczalne koleje, dążenia, stopień inteligencji, wszystko dla umiejętnego spostrzegacza było jak na dłoni. Nic zagadkowego — tajemniczego — nadewszystko nic konwencyonalnego.

To też obserwator umiejętny, byleś mu powiedział, kim byli dla siebie ci ludzie, i jaki dzisiejszego ranka związek połączył ze sobą młodych, odrazu byłby dostrzegł, że szła tu kobieta w przyszłość nie z wyciągniętymi ramionami, ale z rozwagą i świadomością, że nie biegła z zachwytem jak tamta, ale oglądała się po za siebie z troską serdeczną za starym, osamotnionym ojcem, któremu pozostawiała pustkę zupełną w domu na resztę jego życia.

Dla tych, których życie walką jest nieustanną, szczęście ma jakieś podobieństwo do słońca, prześlądnącego zawsze z po za chmur, i to chwilami tylko.

Niczem nie przypominała ta młoda kobieta amtej pięknej, szczęśliwej, świetnej — ani du-

chem, ani pozorem. To było chyba między nimi wspólnego, że im natura dała obu ten sam jasny kolor włosów, a gdyby ktoś — drobiazgowy na przykład spostrzegacz z niewieściego świata, koniecznie chciał doszukiwać podobieństw i zbliżeń, to byłby mógł je wynaleźć chyba w tożsamości prawie kapeluszy, które przypadek obu młodym małżonkom umieścił w tym dniu na głowach.

Ten przypadek potrafi jednak niekiedy być wielkim psotnikiem, a nawet tyranem bezlitośnym, jak nas poucza życie, któż wreszcie nie miał sposobności stwierdzenia tej prawdy własnem doświadczeniem.

Ruch nie ustawał ani na chwilę jedną — owzem im bliżej było do odejścia pociągu, tem wydawał się bardziej natężonym i gorączkowym, gdy naraz rozległy się w kilku punktach wydłużonej linii wagonów głośnie wołania: „proszę siadać!” w ślad za niemi hałaśliwe zatraskiwanie drzwi, potem jeszcze kilka ogłuszających uderzeń dzwonka, a wreszcie świstawka i wraz ze zgęszczonymi kłębam dymu buchającego z komina parowozu, zakotłosał się sznur cały i poważnie zrazu, a następnie ze wzrastającym pośpiechem pognało to wszystko w dal — w świat szeroki — w przeznaczenie, jeśli kto woli.

Bardzo oswojony jest człowiek dzisiejszy z tego rodzaju widokiem, i gdyby nie było tysięcy istnień ludzkich, które ten rodzaj lokomocyi polity i banalny unosi wraz z sobą w tajemniczą przyszłość i ku tragicznym często rozwiązaniom, nie byłoby odeń nic zwyczajniejszego i monotonicznego.

Niestety, na te rozwiązania trafiamy na każdym kroku, stąpając ciągle wśród cierpień i boleści własnych i cudzych.

Ochocze grono weselne wraz z pierwszym drgnięciem pociągu rozbiegło się do oczekujących karet, inni odprowadzający swoich blizkich zdążyli także powoli, każdy do spraw codziennych, i nie upłynęło dwóch minut a na peronie, tam, gdzie tyle przed chwilą było ruchu i życia, pusto zrobiło się zupełnie, i oprócz jednego — literalnie jednego tego starca, który odprowadzał dziecko swoje na niewiadomo jak długą rozłąkę, nie było nikogo zupełnie.

Ale ten jeden został na swoim miejscu, twarz miał marmurowo spokojną, a wzrok zwrócony w kierunku, w którym pobiegł pociąg, i patrzył na zmniejszającą się na horyzoncie z chwilą każdą wstęgę białego dymu.

Czy widział przed sobą cokolwiek, albo słyszał dokoła siebie?

Przekonani jesteśmy, że ani patrzył, ani słyszał. Gdyby zmysłami był przy ziemi, nie byłby tak nieruchomie stał w tem samym miejscu, podczas, gdy w parę już minut po odejściu pociągu zaczął się dokoła niego ruch jakiś niezwykły w tem nawet miejscu — ruch, który był w stanie pochłonać, nietylko zwrócić na siebie uwagę każdego normalnie usposobionego człowieka.

Od pierwszej, na stacyi jeszcze ustawionej, zwrotnicy biegł człowiek zadyszany w mundurze służby kolejowej, trzymający w ręku coś, czego kształtów niewyraźnych rozeznac nie było można, i otworzywszy drzwi na których napisano „kancelaryja zawiadowcy stacyi” znikł za niemi.

Niebawem w przeciwnym kierunku zaczęli biec w pomieszaniu urzędnicy kolejowi, służba policyjna i wojskowa, wszystko co na dworcu było pod tę chwilę i ze służbą ruchu w jakimkolwiek

zostawało zetknięciu. Ci ludzie biegli pędem, gestykulowali, ocierając się o tego starca nieruchomie stojącego, rzucali pojedyncze słowa z których on, gdyby przytomniejszym był cokolwiek, mógł już sobie być całość pewną ułożyć.

Ale jak powiedzieliśmy, człowiek ten ani słyszał, ani widział dokoła siebie.

Wkrótce w odległości 700 do 1000 kroków na planie drogi żelaznej widać było grupę kilkunastu ludzi, stojącą na pozór nieruchomie, a tuż obok starca, niewiadomo dla czego, zbierała się zaczynała inna grupka, do której przybywali powracający z tamtej strony, i zdawali się objaśnić jakichś udzielać.

Nie wiele więcej słyszał było oprócz wykrzykników, oznak współczucia, szczegóły skąpe, zaledwie objaśnione przez pojedyncze wyrazy bezładnie rzucone.

— Kobieta?

— Kobieta, przecież wszyscy to mówią, a wreszcie ślad udowadnia najlepiej.

— Młoda?

— Kto może wiedzieć? Ale młoda chyba, przecież stara podobnego kapelusza mieć nie mogła. A wreszcie włosy.

— Jasne. Jasnobłond — włosy kobiety młodej.

— I to przy pompie?

— Naturalnie, że przy pompie. Wiele to razy mówili ludzie, że ta pompa narobi nieszczęścia.

— Będzie teraz zarządowi ciepło. Dobrze im tak!

— U tych pogan życie człowieka grosza złamanego nie warte. Nie dziś, to jutro musiało się przecie na tem skończyć.

Starzec nic nie słyszał. Dalej odzywały się głosy powracających z kancelaryi zawiadowcy:

— Posłano telegram urzędowy do pierwszej stacyi. Zaczekajcież, pociąg za 5 minut będzie na miejscu. Za kwadrans najdłużej będziemy mieć wiadomość.

Minął i ten kwadrans, biuro zawiadowcy było obłożone, ale o wiadomość ztamtąd trudno było jakoś — pokazuje się, że nie chciano szerzyć popłochu, albo może wiadomości ze stacyi nadeszły jakieś były niedostateczne — niezupełne.

Powoli rozchodząc zaczęli się wszyscy i znowu wpatrzony w dal pozostał na peronie ten jeden starzec samotny.

Zamknięto drzwi od sali pasażerskiej, a z okien kancelaryi zawiadowcy zaczęto się temu człowiekowi przypatrywać teraz uważniej i widać było, że on jest przedmiotem rozmów zgromadzonych urzędników. Wreszcie ukazał się w czapce mundurowej pomocnik zawiadowcy, i pozdrowiwszy grzecznie wpatzonego w przestrzeń zapytał wprost:

— Pan oczekuje kogoś? Pociąg za godzinę dopiero nadejdzie.

Wyrwany z zamyślenia spojrział dokoła w półprzytomnie, wreszcie nie pamiętając zapytania, zagadnął:

— Czy przepisy wzbraniają zostawać w tem miejscu?

— Oh, nie o to idzie — była odpowiedź. — Chciałbym jednak zapytać pana, czy pan oczekuje kogo, czy też stoi tutaj od czasu odejścia pociągu, jak mi powiadają?

— Tak jest... ja byłem na pociągu... odprowadzałem... a teraz widzi pan, tak mi jakoś niespo- ro odejść... wreszcie jeśli trzeba koniecznie...

— Nie rozumiemy się. Daruj pan, jedno jeszcze pytanie.

— Słucham.

— Kogo pan odprowadzał?

Starzec zaczął powracać do świadomości.

— To coś wygląda na indagację — odpowiedział z niechęcią. — Ale mniejsza z tem, jeśli to panu na co potrzebne, to mu powiem, że odprowadzałem córkę. Czy zadowolony pan jesteś teraz i czy pozwolisz mi odejść?

— Chwileczkę panie, doprawdy, gdybyś pan wiedział.. ale jedno jeszcze. Córka zamężna?

Na twarzy starca ukazała się teraz niechęć jawna.

— Zamężna. Tym razem zapewne będzie koniec?

— Jeszcze jedno, panie, miejże na Boga cierpliwość i wyrozumienie. Przecież nie dla głupiej ciekawości męczę pana i siebie. Odkąd zamężna córka?

Starzec z bladego stawał się siny. Przeczucie chwyciło go teraz w swoje szpony, to też utopiwszy wzrok nieruchomy w urzędnika odpowiedział:

— Od dzisiaj rana...

Badać zaczął on ze swojej strony; zdawało mu się, że czyta w twarzy tego, który stał przed nim coś w rodzaju współczucia, które mu sztyłem utkwilo w sercu, a kiedy mu powiedziano:

— Racz pan pofatygować się do kancelaryi zawiadowcy — siedł wpółprzutomny powtarzając: Panie ulituj się nademną, i z tymi wyrazami stanął przed stołem, na którym leżał telegram otwarty. Kartkę z kilkunastu wyrazami, podawał mu w milczeniu przez stół zawiadowca stacyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szczepienie ospy ochronnej.

Ma już to do siebie wszelkie niebezpieczeństwo minione, że szybko o grozie jego zapomina człowiek, i że tak, jak skłonny był do ofiar, gdy jemu i jego bliskim każdogodzinne zagrażało niebezpieczeństwo, tak bezkłopotliwie ufnym okazuje się, gdy klęska zażegnana jest chwilowo chociażby.

Tak się mają rzeczy, gdy idzie o zachowywanie ogólnych przepisów sanitarnych — tak traktują ludzie sprawy wszelkich epidemij. Co do ospy powiedzieć można, że ogół uważa ją widać jako epidemię w pewnym stopniu wygasającą, a nawet wygasłą, że nie przejmują się człowiek dzisiejszy jak należy ważnością szczepienia, a tem mniej rewakynacji następnych, i że bez obostrzeń administracyjnych gotowaby nieopatrność udzka przywrócić ospie jej dawną siłę i rozpowszechnienie.

O tem przekonywamy się ze sprawozdań jakie nam podają pisma francuzkie z bieżącego miesiąca.

Na ostatniem posiedzeniu Akademii lekarskiej w Paryżu, komunikował temu ciału naukowemu doktor Hervieux treść raportu, jaki złożył w roku bieżącym Ministrowi spraw wewnętrznych. Raporta takie o stanie ospy zarówno jak innych chorób zakaźnych na całym obszarze Rzeczypospolitej francuzkiej, składają się corocznie. Otóż w tem co się tyczy Paryża i większości pierwszorzędnych miast francuzkich, szczepienie pierwsze i rewakynacje następne, jak głosi sprawozdanie, są jak najskrupulatniej przestrzegane i co do tego zarówno inspekcyja naukowa, jak gorliwość władz administracyjnych stoją zupełnie na wysokości obowiązku. Wyjątek stanowi jedna tylko Marsylia, która dzięki niewytłumaczonej niechęci swoich organów sanitarnych doprowadziła rzeczy do tego, iż dzisiaj statki wychodzące z tego miasta odbywać muszą kwarantannę w większej części portów europejskich.

Otóż od czasu jak municypalność Marsylska przestała przestrzegać szczepienia obowiązkowego a bezpłatnego, rozpanoszyła się tam oспа w rozmiarach zatrważających prawdziwie, tembardziej, że w tem mieście nadmorskiem oprócz licznego proletaryatu miejscowego jest jeszcze i 100 tysięcy ubogiej ludności włoskiej, i w tych dopiero dzielnicach przez nią zamieszkałych sroży się epidemia z natężeniem takim, jakiego nie widziano od końca XVIII stulecia. Jak wiadomo ta epoka była punktem kulminacyjnym w historii tej epidemii i podówczas też odbyły się pierwsze próby nieśmiertelnego Jennera.

Jak szybko wzrasta szerzenie się ospy, gdy jej się tamy stawiać zaniedba, przekonać się można z tych kilku cyfr:

Zaniedbanie szczepień ochronnych w Marsylii odnoszą lekarze do roku mniej więcej 1881—82. Otóż w latach 1885 i 1886 zmarło w tem mieście na ospę ogółem 3,381, a dalej znajdujemy taki stopień wzrostu zarazy.

W 1894 roku na każde 100 tysięcy mieszkańców umarło 147.

W 1895 roku na każde 100 tysięcy umarło 758.

A przez pierwszy kwartał r. b. umarło w tym stosunku już 358 ludzi.

Jednem słowem niebezpieczeństwo zaczyna być istotnie groźnem.

I w Niemczech po kampanii franko-niemieckiej zjawiała się oспа, a że przyszła niespodzianie, że nadto miały Niemcy co innego na głowie jak kwestyę sanitarną na miejscu, więc mimo, że czujność organów pruskiej służby bezpieczeństwa uchodzić może za wzorową pod każdym względem, walka z epidemią szła opieszale.

Niebawem zbaczono się jednakże, obostrzono przepisy jak najsurowiej, i oto mamy w cyfrach rezultaty stanu rzeczy, przed obostrzeniem przepisów o szczepieniu i rewakynacji, i stanem rzeczy po wykonaniu tych rozporządzeń. W ciągu roku umarło:

	Przed	po
W Berlinie	632	0,4
„ Wrocławiu	356	0
„ Hamburgu	167	0
„ Monachium	89	0
„ Dreźnie	360	1

Rewakynacja obowiązuje co pięć lat. K.

Wskazówki i rady.

WIELKA NOWOŚĆ.

Prawdziwą nowością i ułatwieniem pracy w kuchni, jest wyrabiane obecnie przez panią Mayer (ulica Hoża numer 13) ciasto francuzkie listkowe, zupełnie suche. Sekret ten zdobyła pani Mayer sama z doświadczenia; jest to ciasto zagniecione, które na specjalnym ku temu przyrządzie walcowane, wychodzi jak najcieńszy papier w drobnych kawałkach, a następnie suszone i stosownie użyte daje najlepsze ciasto francuzkie, na ciastka przekładane, na szarlotki i tym podobnie. Że każda rzecz ma swoje ale, więc i tu jedyną wadą jest, iż się nie daje fasonować. Sposób użycia podaje pani Mayer kupującym wyrób, który nawet jest dość tani, gdyż sprzedaje się po 30 kop. funt, a ponieważ jest lekki, więc go wiele idzie na wagę. Podobno ma być do nabycia we wszystkich sklepach kolonialnych. Będzie to prawdziwa wygoda.

Lucyna Cwierzakiewiczowa.

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie	na Prowincyi
Rocznie . . . rs. 4	Rocznie . . . rs. 5 k. —
Półrocznie . . . rs. 2	Półrocznie . . . rs. 2 k. 50
Kwartalnie . . . rs. 1	Kwartalnie . . . rs. 1 k. 25

Adres redakcyi: Chmielna Nr 26.

Numer 34 wyszedł z druku i zawiera:

Nad modrą rzeką, wiersz (z drzeworytem). — Pogadanki naukowe. — Władysław Nowicki: Listy Ciekawskiego z Wystawy Hygienicznej. — Wodospady Nilu (z drzeworytem). — Wdzięczność. — Lekcyja francuzkiego, fraszka sceniczna. Epizod z dziejów wojny Trzydziestoletniej (z drzeworytem). — Michał Synoradzki: Sąd Boży, powieść z czasów Ryszarda Lwie-Serce. — Przechadzka poranna, wiersz (z drzeworytem). — W zaklętym królestwie. — Dumny Gucio. — Baśń o sierotce Julisi. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Zadania i łamigłówki.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Międzynarodowy kongres psychologiczny w Monachium (dokończenie). — Nad siły, nowela. — Szczepienie ospy ochronnej. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — W DODATEKU POWIEŚCIOWYM Anatol Krzyżanowski. Galatea, powieść współczesna (arkusz 22).

MAGAZYN DZIECINNY

Z. ŁASKIEJ,

Chmielna 18 (przy Brackiej),

Największy wybór gotowej konfekcji dziecięcej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

48118

W Zakładzie Naukowym 6 k.

MARYI RAUM

47923

Nowy-Swiat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczną się dnia 2 Września, lekcyje 5 Września; zapis pensyonarek i uczennic przychodzić od 26 Sierpnia, między godziną 10—5 po południu.

! WYPRZEDAŻ !

pozostałych towarów z Magazynu

E. L O T H

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecięcych, oraz męskich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blisko S-to Krzyżkiej).

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersację w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższym znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.

BIURO KOMISOWE UNGRA

Warszawa, Krak.-Przedm. 9. Stałe posiada na składzie nowe i używane:

Biblioteki dębowe, orzechowe, mahoniowe.

Burka męskie i damskie.

Dywany perskie, bucharskie, francuskie i syberyjskie.

Ekran mahoniowy.

Fortepiany i pianina.

Kredensy dębowe, orzechowe, mahoniowe.

Krzesła dębowe i gięte.

Lampy stojące i wiszące.

Lustra czarne, dębowe, orzechowe, złoczone.

Łóżka orzechowe, mahoniowe i żelazne.

Meble salonowe i fantazyjne.

Obrazy i dzieła sztuki.

Otomany juta lub dywanem kryte.

Słupy drewniane i stłukowe.

Stoły dębowe, orzechowe, czarne.

Szafy dębowe, orzechowe, mahoniowe.

Szkló i porcelana.

Toalety orzechowe, mahoniowe.

Umywalnie orzechowe z blatami marmurowymi.

Zastawy brązowe na biurka.

Zydlé dębowe.

Zyrandole i kandelabry.

2469

CENY NIZKIE.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicy Ginejko przy zakładzie Jadwigi Chrzęszczewskiej

w Warszawie, Nowy-Swiat 21.

474428

Froebrowskie kursa Zakład Jadwigi Chrzęszczewskiej

48312

Nowy-Swiat Nr 21.

Przyjmuje przychodnie pensyonarki. Konwersacja francuska. Cena przystępna.

Szkoła Prywatna Męzka

przy ulicy Chmielnej numer 13, przygotowuje uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet niemających czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancja dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przewodzący Szkoły

48214

R. KOWALSKI,

b nauczyciel szkół rządowych.

M. POZZI

POLECA:

ZEGARKI

i BIŻUTERYĘ.



przyjmuje zamówienia i reperacje oraz złocenia i srebrzenia

Nowy-Swiat 31 (róg Chmielnej).

Warszawa, ulica DEUGA № 5.



WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL.”

Wybór wielki. — Ceny najniższe. 4171526

Marya MATUSZEWSKA

Przełożona Pensyi Żeńskiej

47824

w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.

Zawadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensyonarek, odbywa się codziennie od 10—5-ej, kurs nauk zaczyna się 1 go Września.

Sę do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga REUSSNERA:

Najlepsza Metoda

do nauczania się BEZ NAUCZYCIELA czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ich MIESIĄCACH, po angielsku w 24-ich LECYACH. Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. „SAMOUCEK” POLSKO-FRANCUZKI z wymową 37 zeszyt. po 15 k. NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO-NIEMIECKI z wymową, z 14 wzorkami, kop. 85, 20 i 10. POLSKI kop. 25, 15 i 4.

Na przesылkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) ZŁOTA 6, w Warszawie. 4181324

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półroczne rysunków rs. 12. Półroczne haftów artystycznych rs. 12. Kurza otwarte 2 Września.

HORTENSJA Nr 7. 47736

W. SIERCZYŃSKI

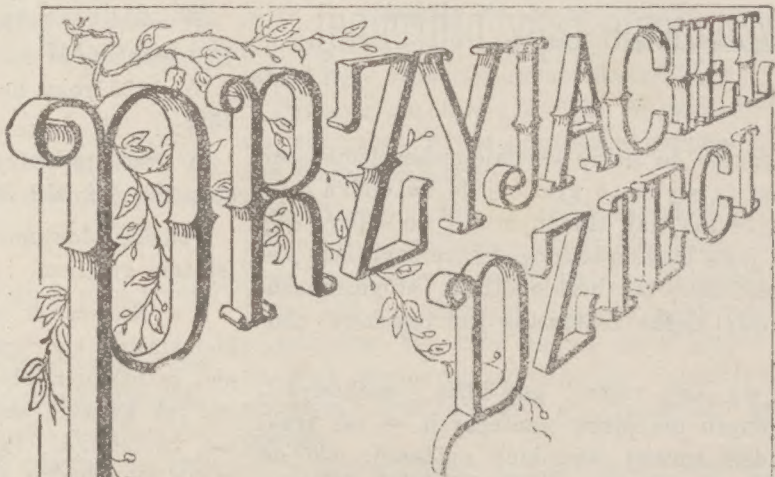
Szewe

Męzki i Damski.



Poleca wybór gotowego obuwia, wykończenie staranne i eleganckie.

WARECKA Nr 1, róg Nowego-Swiatu.



Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce i rozrywce młodzieży poświęcone (NAJSTARSZE W KRAJU).



W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedijki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część ilustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie:

Rocznie . . . rs. 4.

Kwartalnie . . . rs. 1.

Na prowincyi:

Rocznie . . . rs. 5 k. —

Kwartalnie . . . rs. 1 k. 25

Jan Skiński, Warszawa, Chmielna 26.